

Ludzie sceny nadal mierzą swoje niepowodzenia i sukcesy od sezonu do sezonu, główni księgowi pracownicy wyliczają wskaźniki wykonania planu w zgodzie z budżetowym, a więc i kalendarzowym rokiem, natomiast Towarzystwo Przyjaciół Łodzi wprowadziło jeszcze jedną miarę teatralnego czasu, związaną z nagrodą „Srebrnej Łódki”. Przyznaje się ją w Międzynarodowym Dniu Teatru za spektakl o wybitnych walorach artystycznych, zrealizowany na jednej z łódzkich scen pomiędzy 1 marca minionego, a 1 marca bieżącego roku.

Formuła nagrody jest na tyle pojemna, iż mieści się w niej doskonale każde przedstawienie z tych czy innych przyczyn znaczące, a że utarł się zwyczaj jednoczesnego wymieniania kilku innych wartościowszych spektakli, każdoroczny werdykt szerokiego jury daje raczej wierny obraz notowań na łódzkiej teatralnej giełdzie.

W marcu 1973 — proszę wybaczyć terminologię z wyścigowego toru — „Hamlet” Maciejowskiego „przyszedł w cuglach” do mety: w roku bieżącym nie było natomiast równie zdecydowanego faworyta, a nagrodzony spektakl pojawił się dosłownie w ostatniej chwili.

Przyznana już po raz dziewiąty nagrodę „Srebrnej Łódki” otrzymał Teatr Nowy za „Kubusia fatalistę” wg Diderota w adaptacji i reżyserii Witolda Zatorskiego. Scenografia — Jerzy Grzegorzewski, muzyka — Stanisław Radwan.

Jury wyróżniło równocześnie przedstawienie „Czekając na Godota” w Teatrze Nowym (reżyseria Witolda Zatorskiego) oraz trzy spektakle Teatru im. Jaracza: „Bolszewików” Szatrowa, „Przepis ze starej kroniki” Proszkiewicza (oba w reżyserii Jana Maciejowskiego) i „Szewców” Witkiewicza (reżyseria Jerzego Grzegorzewskiego).

Układ sił między teatrami można wyczytać wprost z werdyktu, wywa-

Sezon «Srebrnej Łódki»

żonego z aptekarską dokładnością; powtarzają się w nim zresztą nazwiska reżyserów, których indywidualności ciążyły już nad kilkoma ostatnimi „sezonami Srebrnej Łódki”.

2

O dwóch z wymienionych spektakli — „Przepisie ze starej kroniki” i „Czekając na Godota” — pisałem już na łamach „Życia”; pozostałyby trzy, z nagrodzonym na czele. Być może, przedtem należałoby jednak choć najkrócej scharakteryzować tło, teatralną codzienność.

Przedstawień rażąco, krzykliwe złych — trudno się dopatrzeć, chyba żeby ktoś bardzo się uparł i posperzał pomiędzy bajkami. Tu karny punkt można uczciwie przydzielić filii Teatru im. Jaracza, Scenie 7.15.

Inscenizacji prawdziwie wybitnych, a przynajmniej głośnych, nie ma również. Dominuje przeciętność: zająca przeciętność, uczciwa przeciętność, ale przeciętność tylko.

Unurzany w poprawności jest przede wszystkim Teatr Powszechny, któremu nie prawie nie udało się ziszczyć z interesujących obietnic zwrócenia szczególnej uwagi na młodsze — co nie znaczy dziecięce — pokolenie odbiorców.

Również z zapowiadany przez dyr. Ryszarda Sobolewskiego „teatrem aktorskim” nie zawsze było najlepiej, choć przyznawana równolegle ze „Srebrną Łódką” nagroda „Srebrnego Pierścienia” przypadała Jadwidze Andrzejewskiej za rolę tytułową w „Matce Courage” Brechta. Sam spektakl, w reżyserii Jerzego Hoffmana, był już chyba mniej ciekawy.

Nie udało się, niestety, Mirosławowi Szonertowi polska prapremiera „Marii” Izaaka Babla. Ryszard Sobolewski postraszył widzów znanym z czwartkowej TV Dubridgem, potem dał niezłą realizację sztuki Krasinśkiego „Wkrótce nadejdą bracia”. Najpełniej obroniła się wszelako niezbyt ważka sztuka angielskiego „syndykatu autorskiego” Willis Hall i Keith Waterhouse „Billy kłamca” w zręcznej, operującej cokolwiek filmowym montażem reżyserii Romualda Szejda.

Teatr Ziemi Łódzkiej — oprócz inscenizacji „Popiołu i diamentu” — również cokolwiek stracił na rozpedzie, lecz trudno nieustannie wymagać niezwykłości od sceny pracującej w tak ciężkich, praktycznie wyłączających objazdowych warunkach. Godzi się wszakże odnotować staranny spektakl „Nie igra się z miłością” Musseta, przygotowany przez Jana Perza na jego jubileusz 25-lecia pracy artystycznej.

3

Gospodarujący na trzech scenach Teatr im. Jaracza rozpoczął sezon — ten prawdziwy, liczony od jesieni do jesieni — „Szewcami” Witkiewicza w inscenizacji Jerzego Grzegorzewskiego. Z Grzegorzewskim złożona sprawa: jest nieustannie twórczy, niespokojny, niekiedy piekielnie odkrywczy, jednak — ośmielę się powiedzieć — nie powinien sięgać po sztuki polityczne, gdyż polityka w zaskakujący sposób ułatwia się z jego przedstawień. Zrobił „Balkon” — nic; spektakl jarzył się zimnym blaskiem, lecz nie wybuchał. Zrobił „Szewców” — znów nic; przynaj-

mniej o tyle nic, o ile Witkiewicz pozwolił.

Przedstawienie, otwierane kluczem operetki, „Operetki” Gombrowicza również, było interesujące, choć cokolwiek nierówne. Mocny pierwszy akt z blyszczącą od samego początku rolą Jerzego Przybylskiego (prokurator Scurvy), niemal zupełnie pusty



„Proces o Andersonville” Levitta w Teatrze Nowym w Łodzi. Reż. Jerzy Zegalski, scen. Andrzej Sadowski

akt drugi, wreszcie pyszne otwarcie aktu trzeciego i doskonała scena chłopska tuż przed finałem, jak gdyby rozpoczynającym dopiero jakąś inną, nową sztukę...

Pomijając niedoskonałości scenariusza, osiągnięciem o dużym cięża-

rze teatralnym byli zrealizowani na tej scenie „Bolszewicy” Szatrowa w precyzyjnej, wręcz matematycznej reżyserii Jana Maciejowskiego. Doskonałą robotę aktorską pokazał cały zespół męski z Markiem Bargiełowskim (Swierdłów), Henrykiem Józwiakiem (Kurski) i Andrzejem Głowskim (Łunaczarski) na czele.

Feliks Zukowski obchodził piękny jubileusz pięćdziesięciolecia pracy aktorskiej w sztuce O’Neilla „Zmierzch długiego dnia” — kwiatów i wzmnień było tak wiele, że nie sposób przykładać do spektaklu tradycyjnych, recenzenckich miar.

Na Małej Scenie oglądaliśmy dwuosobową sztukę E. A. Whitheada „Alfa Beta” — realizacja rzetelna, jednak „Oskarżyciel publiczny” sprzed dwóch lat zdawał się zapowiadać cokolwiek inne ambicje repertuarowe.

Do Teatru 7.15 posłałbym kogoś, kto chciałby pisać pracę doktorską nt. „kłopoty z rozrywką w dorzeczu Wisły środkowej”.

4.

W Teatrze Nowym nastąpiły poważne zmiany, gdyż jeszcze w trakcie sezonu dyr. Jerzy Zegalski złożył rezygnację; funkcję konsultanta artystycznego — a od 1 stycznia 1975 dyrektora — obejmuje Kazimierz Dejmek. Tak jednak czy owak, poźegnalny sezon Zegalskiego był ciekawszy niż uprzednie, choć otworzyły go dwa chłodnawe i nie prowokujące do sporów spektakle: „Dobry człowiek z Seczuanu” Brechta w Dużej i „Upiory” Ibsena w Małej Sali. Potem jednak zaczęło dziać się coś więcej i już „Wilki w nocy” Rittnera (reżyseria Lecha Komarnickiego) miały przynajmniej kilka bardzo dobrych scen i brawurowo poprowadzoną rolę Izabeli Pięnkowskiej, która swoją „kobietę fatalną” precyzyjnie wystylizowała na filmowego wampa.

Bardzo interesująca była również polska prapremiera „Procesu o An-

dersonville” Saula Levitta w reżyserii Jerzego Zegalskiego, który ów historyczny proces rozegrał na nagiej scenie, wśród rupieci i porozstawianych reflektorów. Bardzo piękną rolę, kontrkandydującą zresztą do nagrody „Srebrnego Pierścienia”, dał Andrzej May (prokurator Chipman), równie wysoko ocenilibym pracę Wojciecha Pilarskiego (przewodniczący sądu, generał Wallace), gorzej, niestety, wypadł plan drugi.

I wreszcie — „Kubus fatalista” w Małej Sali, powiastka filozoficzna Diderota opowiedziana językiem kabaretu pantomimy, chciałoby się rzec językiem „Konja”, że powołałam się na ten znakomity program sprzed lat piętnastu. Witold Zatorski spreparował scenariusz, dopisał teksty piosenek, wymyślił gagi, zaraził ponadto cały zespół zapalem, stawiając przed nim rzadko spotykane w polskich teatrach ogromne zadania ruchowe, czysto fizyczne po prostu.

Bogusław Sochnacki (Kubus), Ryszard Stogowski (Pan), Zofia Grązewicz, Ryszard Dembiński, Zbigniew Nawrocki i cała reszta zespołu, obsadzona w zwielokrotnionych rolach, dali popis sprawności, temperamentu i humoru, co zwłaszcza przy dobrze reagującej publiczności zamienia spektakl w jurną, rozbuchaną zabawę.

Na „Kubusi” zakończyć. Po raz pierwszy w dziewięciu już „sezonach Srebrnej Łódki” najwyższy lokalny laur przypadł komedii, co może oznaczać jednocześnie kilka różnych rzeczy. Po pierwsze — że przedstawienie było rzeczywiście dobre; po wtóre — że znużeni poprawnością jurorzy również chcieli się orzeźwić bujnym, beztroskim śmiechem; po trzecie — że wiosna przyszła w tym roku wyjątkowo wcześniej, a „Kubus” jest właśnie wiosenny.

JERZY PANASEWICZ